

Amira siedziała na skalnej podłodze w jednej z cel lochów Nemedor pogrążona w obezwładniającej apatii. Opierała obandażowaną głowę o zimny kamień, starając się nią jak najmniej ruszać. Tępy ból rozbitej ghallijskim młotem czaszki wciąż falował, choć po dwóch dobach przynajmniej nie wywoływał już trudnych do opanowania nudności. Z rezygnacją czekała na egzekucję, wiedząc, że jako córka Arslana, Zagan-beja Arrakinów, nie może liczyć na jakąkolwiek łaskę. Zbyt wiele krwi przelano z rozkazu jej rodziciela i zbyt liczne wdowy po stronie zwycięzców oczekiwały dziś sprawiedliwości.

„Kto by mógł przypuszczać, że wszystko runie w tak krótkim czasie za sprawą właściwie pojedynczego człowieka” – natrętna refleksja pozostała jedynym bodźcem wywołującym jeszcze jakieś emocje. „Był jeńcem osadzonym w najpotężniejszej twierdzy, na obcym terytorium, wśród nieznanego mu rasy, a mimo to znalazł sposób, by nie tylko się wymknąć, ale też rzucić iskrę na stos rebelii, uwalniając jej jedyną nadzieję. Jak mogłam być aż tak ślepa i głupia? Co sprawiło, że tak łatwo zdołał mnie omamić swoimi umizgami?”

Rozdartą duszę niedoszłej dziedziczki północy wypalała gorycz winy. Wyraz oczu ojca, gdy dowiedział się o ucieczce Leśniada z przywódcami buntowników, tkwił w jej pamięci niczym żywy. Pierwszy raz nie wybuchł, nie rzucał przekleństwami ani groźbami, tylko stał i patrzył na nią w ten niesamowicie bolesny sposób. Nieskończony ocean zawodu, poczucia porażki i strachu. To, że Xorak ograniczył się wówczas jedynie do pełnego wściekłości komentarza: „Uprowadziłem was, głupcy”, po czym zostawił ich samych w ciszy, nic nie zmieniło. Podobnie jak dzika waleczność, z jaką próbowała zagłuszyć wyrzuty sumienia, broniąc ostatniego bastionu u boku namiestnika. Widziała, jak miecz Gardianina przebija tors Arslana stojącego wśród zwałów ciał pokonanych napastników. Nie usłyszała z jego ust nic, gdy konał, mimo że odpierała napór tuż obok, w zasięgu jego wzroku.

„Nie dane mi będzie nawet godnie zginąć” – piekący wstyd przelał czarę udręki. Łzy płynęły same.

Głuche szurnięcie otwieranych drzwi na końcu korytarza przebiło się przez żal i rozpacz. Do jej wnętrza zbliżały się miarowe kroki, sprawiając, że poczuła suchość w ustach. Wzięła głębszy oddech, przygotowując się na to, co nieuchronne.

– Tę, o którą pytasz, panie, trzymamy tu, po lewej stronie. – Ton strażnika wydał jej się podszyty nutą dumy. – Jutro mają ją stracić.

– Dziękuję, poruczniku. Proszę otworzyć kratę.

Wypowiedź innego mężczyzny brzmiała jednocześnie spokojnie, wręcz przyjacielsko, ale też jednoznacznie władczo. Przez chwilę miała nawet wrażenie, że skądś zna ten głos, ale nie ufała zmysłom po straszliwym ciosie, który ją powalił.

– Jesteś pewien, panie? – Słowa klucznika straciły na swej wzniosłości, gdy przytłumił je cień obawy. – Ta wojownicza zabiła prawie tuzin mężów, zanim padła.

– Przecież ona ledwo żyje – sarknął lekceważąco przybysz.

Przez skołatany umysł rannej zwiadowczynie znów przemknęło wrażenie, że zna mówiącego. Uniosła ostrożnie głowę i spróbowała dojrzeć stojących przy kracie. Zauważyła jedynie zarys żołnierza, który wzruszył ramionami, po czym podszedł bliżej. Chrząst klucza przekręcane go w zamku nie zostawiał wątpliwości. Żelazne zawiasy zaskrzypiały przeraźliwie. Wchodzący średniego wzrostu osobnik nie był uzbrojony, choć ubrany ewidentnie w wojskowy styl. Zrobił kilka kroków w głąb jej niszy i kucnął w odległości niewiele większej niż długość głowni miecza.

– Światłość z tobą, Amiro – rzekł ciepło.

Tym razem nawet zamglony wzrok nie mógł jej zmylić. To był Leśniad. Przypatrywała mu się intensywnie, usiłując opanować rozpędzający się w niej gniew. Czuła, jak obite i poharatane ciało spręży się mimowolnie do ataku. Nie odwzajemniła pozdrowienia.

– Wysłuchaj mnie, zanim się na mnie rzucisz – wyraził propozycję cicho, ale też twardo. – Zdaję sobie sprawę, jak to, co zaszło między nami, musi wyglądać z twojej perspektywy. Lecz mimo to przyszedłem tu, żeby ci powiedzieć, że podtrzymuję wcześniejszą propozycję. Ona była i jest aktualna.

– Zdrajco! – wycharczała, z gniewem pochylając się do przodu, ale od razu pożałowała tego ruchu. – Prędzej szczenę, niż dam się znowu zwieść takiemu podlecowi jak ty.

Były zakładnik Nemedor westchnął i przyjrzał się jej bacznie.

– Być może rzeczywiście marnie skończysz. Twoje obrażenia wyglądają na wymagające natychmiastowej opieki medyka. I to fachowej.

– Trupom medycy nie są potrzebni, ale daj mi choć chwilę, a tobie samemu będą oni konieczni.

Obecny doradca Słonecznej Pani przysunął niespodziewanie blisko twarz i odezwał się zimnym tonem:

– Cokolwiek się w tobie gotuje, weź to natychmiast na smycz. Wyprowadzę cię teraz stąd, a ty będziesz iść obok grzecznie aż do samej Gleny. Tam zjesz, opatrzą cię i wtedy zdecydujesz: uznasz mnie za niegodnego przymierza, które zawarliśmy i którego, zważ sama, nie zerwałem, albo też wybierzesz rozsądek nad wybuchową głupotę i wtedy omówimy sytuację. Tak czy inaczej, nie zginiesz z rąk kata ani, mam nadzieję, z powodu tej paskudnej dziury w czaszce.

Odsunął się i dał jej czas, by znaczenie słów do niej dotarło.

„Jak on śmie przychodzić tu i prawić mi takie rzeczy!” – wirowały w niej gorące myśli, podsycając złość. „Nemedor padło, północ padła, mój ojciec usieczony, a on mi łaskę ciska niczym psu zgniły ochłap”.

Mdłości napłynęły obezwładniającą falą, aż musiała się oprzeć o kamień i wyrównać oddech. Powstrzymała odruch wymiotny, choć i tak nie miała czego zwrócić. Znów poczuła okrutny ból wbijający się ostrym świdrem w bok jej głowy.

„Po co miałby kłamać? Jaki w ogóle miałby interes mnie stąd zabierać?” – pojedyncza wątpliwość przebiła się przez chwilowo ostudzone emocje. „Czy jeśli faktycznie pójdę do gospody, to moje położenie się pogorszy? Nie zmusi mnie do niczego. Nie ma czym. Stoję już przy Bramach Świata”.

Przyjrzała się Elizejczykowi na tyle czujnie, na ile dała radę w obecnym stanie. Jego poznaczone bliznami rysy, ledwie widoczne w półmroku lochów, nie wskazywały niczego więcej niż to, co wciąż pamiętała. A pamiętała zaskakująco dobrze. Dziwną życzliwość, wesołkowatość pomieszaną z tajemniczością i siłą charakteru. Cały pomocnik Basana. Legenda kulinariów Tłustej Gleny.

– Jestem Amira, córka Arslana, najbardziej zagorzałego z wrogów Sprzymierzonych Ras – wyszeptwała sucho. – Nie opuszczę celi, chyba że wiedziona na kaźń.

Mężczyzna prychnął i wstał.

– Jestem Leśniad, syn Gerarda, a obecnie najbliższy z zauszników przyszłej królowej Amadal oraz główny strateg, dzięki któremu ludzie, Myriadzi i Ghallowie świętują dziś zwycięstwo. – Uśmiechnął się z charakterystycznym dla siebie szelmowskim grymasem. – I wyprowadzę cię stąd z większą łatwością, niż uwalniałem Wielkiego Ghrella i Broczysława.

Arrakinka posłała mu zmęczone spojrzenie.

- Czemu chcesz mnie uwolnić? - szepnęła już bez emocji. - Jestem twoim wrogiem i nim pozostanę. Nie przydam się na nic ani tobie, ani nikomu.

Jej rozmówca milczał dłuższą chwilę. W końcu wciągnął głębiej powietrze i potarł podbródek jakby w zamyśleniu.

- Gdy będziesz w moim wieku, pojmiesz, że sprawy nigdy nie są czarne lub białe. Takie mogą być jedynie nasze decyzje. Mam więcej niż jeden powód, by zwrócić ci wolność. Dla ciebie obecnie najważniejszym powinno być to, że zaliczam się do ludzi dotrzymujących umów. To, że należymy do skonfliktowanych obozów, wcale nie przeszkadza w tym, byśmy nadal utrzymywali nasz sojusz.

- Bredzisz, bliznolicy - odparła z rezygnacją. - Zdobycie Nemedor i śmierć namiestnika oznaczają upadek całej Arraki. Na co liczysz? Myślisz, że jest możliwe, by wróciły dawne czasy? Po takich okropnościach, jakie miały miejsce za Semaela?

- Ty mi powiedz. - Uśmiechnął się zagadkowo. - Paradoksalnie mimo że jesteś w opłakanym stanie i jeszcze gorszym położeniu, to właśnie ty jedna możesz ukształtować przyszłość twego ludu. Zapewnić klanowi Górskich Tropicieli ciągłość władzy, zgodnie zresztą z wolą poległego ojca.

Parsknęła w odruchu zbyt energicznie, a więzienie natychmiast niebezpiecznie się zakołysało.

- A niby jakim cudem mogłabym cokolwiek uczynić? - Niemal wyjęczała, próbując opanować nawracające cierpienie.

- Starania nad tym cudem pozostaw mnie, bo jak już zdążyłaś się pewnie zorientować, to moja domena. Ale gdyby tak się na chłodno zastanowić nad faktami... - Podniósł nieco brodę, zerkając niby na sufit. - Jeden z twoich braci zginął w bitwie na Słonecznych Równinach, drugi stoczył się tak bardzo i popadł w takie tarapaty w Oroburku, że prędzej rynsztok stanie się jego domem niż zamek. Jeżeli Winea, pogromczyni Orogonów i północy, osobiście naznaczy cię na następczynię krwi tu, w stolicy, dajmy na to, w uznaniu twego bohaterstwa w walce, czego świadków raczej nie zabraknie...

Amira słuchała coraz bardziej zaszokowana roztaczaną z tak niesamowitą łatwością wizją.

„Kolejny raz nie mogę przeżyć tego, jak ogromną przewagę w politycznych zdolnościach posiada nade mną ten niewiarygodny człowiek. Ale niech mnie Dragon rozedrze, jeśli nie jest tak, że to, co kreuje ten typ, może się udać. To wydaje się zadziwiająco realnym”.

- Co ty byś z tego miał? - zapytała lodowatym tonem. - Nie będę twoją marionetką!

Mężczyzna się wyprostował i strzepnął z koszuli jakiś sobie tylko widoczny paproch.

- O tym wolałbym porozmawiać po pierwsze w jakimś bardziej dyskretnym miejscu, a po drugie gdy już będziesz bardziej przytomna i świadoma. - Zerknął z ukosa na zmaltretowaną kobietę. - Ale nie martw się, zdążyłem cię poznać na tyle dobrze, by wiedzieć, jak z tobą tańczyć, by to był w pełni twój taniec i na twoich warunkach. Raczej wykorzystuję sytuacje, niż manipuluję nimi. Tak jest znacznie bardziej sensownie w dłuższej perspektywie. Pewnie zachniesz się na to stwierdzenie, ale i tak je wypowiem: wciąż zależy mi bardzo na relacji z tobą jako osobą.

Milczała pogrążona w chwilowym zamyśleniu. Oddychała wolno i ciężko. W pewnym momencie wyciągnęła do niego rękę, sygnalizując mu, że byłoby miło, gdyby pomógł jej wstać.

- Prowadź więc. Wyjdźmy razem naprzeciw naszemu przeznaczeniu i przekonajmy się, co ma nam do zaoferowania.